

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Filozofia Goëthego” przez professora filozofii Caro. — „Literatura włoska” przez pana Perrens. — „Pan domn” dramat w pięciu aktach przez Barbier. — „Le mariage aux encheres” komedya przez pana Guillemot. — Stan umysłowy Francyi. — „Słownik mytologii” pana Ordinaire. — Zadania Towarzystw uczonych. — Wiadomości literackie. — Leon Gozlan.

Francya upokorzona i zatrwożona wszechstronną wyższością Prus, sili się jedynie na to, jak sprostać temu państwu tak pod względem wojennym jak pokojowym, jak urządzić na wzór pruski, wojsko, jak dociągnąć oświatą do wysokości na której pozostaje za Renem, a której młode państwo tak nagle objawione światu, zwycięstwa i całą moc swoją zawdzięcza.

Robią się więc w Paryżu plany reorganizacyi wojska, szkół elementarnych, administracyi finansow, wybierania podatków, wyzyskiwania dróg żelaznych i tym podobne rzeczy; książek nie specjalnych, pozostających w sferze ducha, wychodzi mało; a i tych prawie nikt nie czyta, bo duch Francyi obecnie zaprzątnięty nie wyższą troską całej ludzkości, nie formułowaniem myśli nowych, ale jedynie stosowaniem i przyswajaniem sobie rzeczy praktycznych które zdumiony obaczył przy ogniu igłowej broni.

W takiej porze nie sprzyjającej polotowi myśli, przykuwającej ludzi do kółek i zazebień maszyny społecznej, świetny obrońca mocno zagrożonego spirytualizmu professor filozofii — Caro wydał tom pod tytułem „*Filozofia Goëthego*.”

Książka przeszła prawie niepostrzeżona, chociaż do niepospolitych należy. Autor wziął ten sam przedmiot, który

znakomicie opracował w dziele pod napisem: „*L'Idée de Dieu et ses nouveaux critiques*.” „*Filozofia Goëthego*” jest poniekąd dopełnieniem „*Idei Boga*.”

Caro dowodzi, że Goëthe nie był filozofem we właściwém znaczeniu tego słowa, nie ma on systematu uorganizowanego, nie wykląda jak Kant lub Hegel, ale stara się jedynie rozwiązywać wielkie zagadki które umysł ludzki niepokoją. Dla tego właśnie że nie jest filozofem z reguły, Goëthe powiązał ducha Francyi z duchem Germanii, Hegel przeraża francuzkie głowy — Goëthe je wabi. Werther, Faust, Karlota i Malgorzata, te czworo dzieci poety, przyciągnęły Francuzów do myśliciela; ale i Mefistofeles do nich się uśmiechnął. Bez pomocy Goëthego, mówi Caro, wyobrażenia za-Reńskie nie byłyby u was wywarły wpływu. Onto zaszczerpił czytającym Francuzom nieokreślony panteizm, który w umyśle ich zatarł nie tylko resztki chrześcijańskiego Bossueta, ale nawet deizm Jana Jakóba i *Bo-ga ubogich*, którego chwalił Berangér.

Goëthe urodzony w połowie XVIII wieku zaczynał właśnie myśleć, kiedy stara wiara wypędzona zewsząd zdawała się zgubiona na zawsze. Z Paryża do Berlina, i odwrotnie, jeździli ustawicznie *komuwojażerowie* Encyklopedyi zatrzymując się po drodze we Frankfurcie. Tam młody Goëthe słuchał ich cheiwie, jako człek łaknący nowój myśli: nauka chrześcijańska którą w dzieciństwie odebrał, w duszę jego nie wnikała.

Pierwsza iskra która Goëthego zapaliła, prysła z książki: z *Etyki* Spinozy. „Nie potrafię wyrazić, powiada, ilem z tego dzieła skorzystał: ukoilo ono moje namiętności, otworzyło przed moimi oczyma szeroki pogląd na świat czujący i świat moralny.”

Goethe miał lat 25, kiedy Spinozyzm tak silnie na umysł jego podziałał. Przez całe życie zachował to pierwsze wrażenie, chociaż nieco zmodyfikował system. Z téj szarój poczwarki która przypadkiem stanęła w promieniu geniusza, on wypędził panteizm skrzydlaty, świetny co nie boi się krytyki, bo się uchwycić nie da.

Napisano niezliczone tomy wyjaśniające panteizm, można go jednak zdefiniować w 3ch słowach: jestto zjednoczenie Boga i świata.

Doktryna ta, którą Azja niegdyś Grecyi przekazała, która dotąd stanowi grunt religii indyjskich a której ukazanie się w łonie Europy uczonej po tylu wiekach chrześcjanizmu, jest nader ważną oznaką, na pierwszy rzut oka jasna, ciemniej w miarę jak się weń zagłębiamy. Jestto niby ogromna jaskinia u wejścia widna, a dalej czarna jak noc i nieznana... Sam Goethe mówi, że nie spotkał nikogo ktoby dokładnie mógł mu zdać sprawę z tego co kryje ciemności panteizmu?

Każdy panteista ma swój panteizm odrębny; dwa są najwybitniejsze: wedle pierwszego pojęcia, świat jestto całość zjawisk bez odrębnego istnienia; wedle drugiego, Bóg jestto siła powszechna, rozlana w naturze i zlewająca się z nią. Ta ostatnia forma panteizmu dzisiaj żyje pod nazwą *naturalizmu*, wyraz nowy, przyjęty na przysłonienie nieco zużytych doktryn.

Naturalizm Goethego nie był panteizmem Spinozy. „Spinoza, mówi Caro, wiąże się z łańcuchem myślicieli idealistów, których pierwszym ogniwem jest Parmenides. Spinoza zaprzeczał realności świata: *Etyka* jego jest abstrakcją czystą. We sto lat wskrzeszony przez myślicieli niemieckich *Spinozizm*, zmartwychwstał w innym kształcie. Bóg Spinozy, wytłumaczony przez Lessinga i Schleiermachera nie różni się od Boga-Materyi Newalisów, który głucho szeleści w wodach i wichrach, drzewie, w roślinach, budzi się w zwierzętach, myśli w człowieku i napęłnia świat czynnością nigdy nie odpoczywającą i nie wyczerpaną“.

Przechodząc przez umysł Goethego, abstrakcyjne Spinozy, nabrały kształtu, barwy: co mianowicie zachwyca w Wejmarskim Homerze, to właśnie nieokreślone pojęcie życia boskiego w naturze. „Najwyższa Istota, mówił do ucznia swego Eckermana, nie objawia się tylko w człowieku; znać ją także w bogatej naturze i wielkich wypadkach świata. Jój wyobrażenie utworzone z pomocą samych zdolności człowieka, nie może wystarczyć; obserwator znajdzie wnet szczybry i sprzeczności, które zaprowadzą go do zwątpienia, nawet do rozpacz, jeżeli nie jest dość miernym żeby się dał ukoić fraszką, albo jeżeli nie dość wielki, żeby doszedł do wyższego punktu widzenia“.

Panteizm znoszący osobistość Boga i Słowo twórcze, jest religią, która najlepiej przystawała takiemu człowiekowi jak Goethe: Bóg osobisty byłby mu zawadzał—Bóg twórczy byłby go zaćmiewał.

Badanie charakteru Goethego, zdejmując z powyższego twierdzenia zarzut przesady i w filozofią jego wtajemnicza najlepiej.

Jak Napoleon I, Goethe miał swoich Las Casesów i O'Mearów, którzy dla potomności spisywali wszystko co wyrzekł. Z tych źródeł można wyczerpnąć najpodobniejszego człowieka, a nawet ujrzyć go takim jakim był.

W *Zapiskach* Eckermanna znajdujemy następującą kartkę dość ważną.

„Pytasz mnie, rzekł Goethe do swojego sekretarza, jaką myśl chciałem wcielić w *Fausta*... Jakbym ja to wiedział jakbym mógł powiedzieć sam! *Od niebios przez świat, aż do piekła*: oto tłumaczenie, jeżeli go potrzeba. Ale to nie jest idea: to pochod akeyi. Widać djabła przegrywającego zakład, widać człowieka wychodzącego z przykrego obłąkania i posuwającego się ku lepszemu: mówią że poemat opiewa historią zbawienia Fausta. Jest to uwaga słuszną, użyteczną, mogąca rozjaśnić dzieło; ale to nie jest idea mogąca służyć za podporę całości i każdej oderwanej scenie. Byłoby to, doprawdy ładnie; gdybym był chciał powiązać zjedną myślą jako z cienką nitką przeciągniętą przez cały poemat, sceny tak różne, tak bogate różnaitém życiem, jakie do *Fausta* wprowadziłem! W ogóle, to nie jest moja maniera, jako poety, żebym usiłował wcielać abstrakcye. Duch mój odbierał wrażenia przeróżnego rodzaju, tak jak mi je moja żywa wyobraźnia przedstawiała. Jako poeta, miałem już tylko dać im kształt, ułożyć w obraz i ukazać w żywém malowidle, ażeby ci co mnie słuchają lub czytają, doznawali wrażeń jakich sam doznałem.

„Akt Heleny ma fizyognomią oryginalną: tworzy niby mały światek zaledwie przyczepiony do tego co poprzedza i następuje. Taką cechę mają inne akty: scena w piwnicy Auerbachu, kuchnia czarownic, Blocksberg, Rada państwa, maskarada, papierowe pieniądze, laboratorium, klasyczna

noc Walpurgis: *wszystko to małe światy, które wywierają na siebie wpływ pewien, pozostają nie zależne*. Chodzi więc jedynie o nadanie każdej części fizyognomii jasnej i wyrazistej. Co do całości, ta pozostanie *niepomierzalną*, jak te problemata, które ludzie mają pociąg zgłębiać“.

Powyższe przytoczenie nie rozwidnia *Fausta*, ale pokazuje Goethego w pełni. Szkoda że nie widzimy obok niego, pocziwego Eckermanna, słuchającego Stwórcy wszystkich tych światów. Co za duma! Zwykle w wierszach natchnionego poety znać ból, znać lzy takie jak nasze. Goethe, nacelnik Szkoły Obojętnych, takiej słabości niema. Przez osobisty przywilej który gubi wszystkich jego naśladowców, pozbył serca a pozostał poetą. Serce niepokoiło go; włożył je więc w *Werthera* i obszedł się bez niego przez resztę życia, które jeszcze trwało lat sześćdziesiąt: mózg jego wszystkiemu podolał.

Przez lat sześćdziesiąt nie mało klęsk spadło na kraj i rodzinę Goethego. Krewni, przyjaciele, kobiety które sądziły że kochając doczekają się wzajemności, pomarli... On widział jak to wszystko padało koło niego — i niewiele się wzruszył jak dąb patrzący na kwiaty które zima zmiata. Widział kraj swój podbity, niemieckie niwy orane kulami a trupami zasiane, i patrzył na to wszystko równie spokojnie jak promienne słońce wschodzące nad pobojowiskiem... Pracował sobie, przechodząc od nauki do poezyi, a od poezyi do nauki.

A przyjaźń jego dla Schillera? zarzuci kto z boku. Pomówimy o niej, jeżeli chcecie. Goethe lubił stosunek z Schillerem: obaj znajdowali korzyść w tej styczności, ale prawdziwą przyjaźń czuł sam tylko Schiller. Dowodem tego są ich listy. „Gotuję wam niespodziankę dotyczącą was z bliska... mam nadzieję że was bardzo ucieszy“ pisze Schiller do Goethego. Ten odpowiada:

„Nie pojmuję co możesz nazywać niespodzianką. Twoja jednak — dodać raczył — będzie miłą“. I zaraz po tém ustępstwie uczynioném grzeczności, dodaje: „Nie w mojem przeznaczeniu, spotkać coś nieprzewidzianego, niesłychanego, cóż czegobym *jeszcze nie zdobył*“.

Róbże tu niespodzianki takim przyjaciółom!

Schiller posyła mu poezye w rękopiśmie z prośbą ażeby powiedział co o nich myśli; w kilka dni później Goethe odsyła pakiet nie rozpieczętowany, z takim dopiskiem: „Odsyłam ci twoje poezye, których ani czytać, ani nawet przejrzeć nie dozwoliły mi moje zajęcia.”

Jakie zajęcia? Festyny i teatr, które Goethe urządzał dla wejmarskiego dworu.

Pewnego razu Schiller gwałtownie zaniepokojony, donosi Goethemu że mu żona śmiertelnie chora. „Byłbym pojechał cię odwiedzić, odpisuje Goethe, gdybym nie miał pilnych zatrudnień. Tyle interesów wymaga tu mojej obecności, iż byłbym przy tobie jak na śpilkach, coby nie było ci żadną pomocą.”

Taki był ów przyjaciel serdecznego Schillera.

W chwili kiedy umarł nagle Karol August Wielki Książę wejmarski, dobroczyńca Goethego, on siedział właśnie przy stole z przyjaciółmi, których zawsze raz w tydzień przyjmował. Fatalna wiadomość doszła natychmiast do domu Goethego, ale żaden ze służących nie śmiał powiadziéć mu jéj przy obiedzie. Podeszły wiek jego, przywiązanie o którém często mówił, kazały się obawiać że ta wiadomość może go uderzyć jak piorun. Goethe dopatrzawszy wzruszenia na otaczających twarzach, zapytał o przyczynę. Musiano mu powiadziéć. „Al! to okropność!” zawołał. I na tém się skończyło: prosił gości żeby o czém inném mówili i jedli dalej obiad.

Zimny z natury, Goethe usiłował wydawać się jeszcze zimniejszy, obojętny na wszystko co ludzi porusza. Do końca wytrwał w téj postawie i nigdy nie zdjął marmurowej maski. Ale cóż zyskał na gruncie téj niewdzięcznej roli? Dla chwały nie, dla szczęścia nie wiele... przeciwnie nie mało go kosztowało że chciał być więcej niż człowiekiem.

Pod naciskiem najcięższego razu, Goethe się nie zachwiał, lecz zaledwie nie umarł. Oto jest opowiadanie jego wiernego ucznia Eckermanna.

Jedyny syn Goethego, nadzieja jego starości, pojechał do Włoch. Eckerman odprowadził go do Genui, zkad wrócił, puszczając młodzieńca już samego do Rzymu: do celu jego podróży.

Jeszcze nie zajechał do Wejmaru, kiedy odebrał z Rzymu list donoszący zarazem o przybyciu i o śmierci młodzieńca.

Pocziwy Eckermann wpadł w rozpacz... nie wiedział co począć... W końcu zawiadomił ojca piśmiennie, ale nie śmiał stanąć przed nim. Trzeba jednak było pójść. „Stałem za drzwiami mówi, nie mając odwagi zapukać, wkrótce drzwi się otwały, uściskał mnie i wydawał się najspokojniejszy. Mówiliśmy o wszystkim, tylko o tém ani słowa. Nazajutrz dopiero Goethe zamilkł, a na 3ci dzień zachorował... w nocy miał atak apoplektyczny i ledwie że nie umarł.”

Goethe miał wtedy lat 80: siłą woli ocalał. Skoro wstał z łóża, bladej jak widmo, rzekł: „No! teraz przez groby, na przód!”

Przy tym wykrzykniku Katon błednie... A jednak niech kto chce podziwia ten hart nad-rzymski. My nie możemy. Nie byłoby lepiej odsłonić po prostu serce ojcowskie przed pocziwym przyjacielem?

Przekleństwo które Bossuet ciska na głowy dumnych bohaterów, i Goëthego dosięga: „Mogą oni, powiada, znużyć do uszanowania, mogą wyludzić uwielbienie, jak wszystkie nadzwyczajności, ale serc nie posiedzą.” A dalej chrześcijański filozof następujące słowa przeciwstawia filozofowi panteście: „Skoro Bóg utworzył serce i wnętrze człowieka, włożył w nie najpierw *dobroć*, jako własny charakter natury Bożej, żeby był jako ślad téj dobroczynnej ręki z której wychodzimy.”

Oto nauka chrześcianina. Czegoż uczy panteizm? Jak z niego wysnuć dobroć, miłosierdzie, poświęcenie? Każda zła natura może przeciwnie powołać się nań, żeby iść bez wyrzutów za złą skłonnością.

Z potrójnej formuły chrześcijańskiej jedna tylko *równość* godzi się z panteizmem. A i tę nawet Goëthe odrzucił: „nie spodziewajmy się, powiada, żeby rozum był kiedy powszechny: zostanie on zawsze wyłączną własnością kilku wybranych.”

Ludzkość téż dla Goethego wyobrażali tylko ludzie wysoko ukształceni. Ztąd jego teoria nieśmiertelności: zdaniem jego *nieśmiertelnemi są tylko geniusze*.

„Goethe, powiada Caro, należał do liczby tych, którzy nie widzą przyczyny, dla której człek dziki miałby być nieśmiertelny.” Tym sposobem professor filozofii chciał dotknąć filologa. Renan, w którymś ze swoich artykułów przeglądowych, napisał: „Je ne vois pas pour quoi un Papou serait immortel.”

Rzeczywiście to co Goethe rozumie przez nieśmiertelność, nie może się nawet nazwać nieśmiertelnością geniuszu. Jestto tylko mniej więcej długie echo sławy. Prawo wyraźnie w *Fauście* wypisane: „Ten kto sobie nie zrobił imienia na ziemi, należy do żywiołów.” A więc człowiek genialny któremu okoliczności nie dozwoliły *pokazać się*, musi umrzeć cały, tak jak człowiek pospolity. Najwznioślejsze cnoty jeżeli nie wyszły na świecznik, należą do żywiołów. Świętość nawet jeżeli w cieniu powstała, należy do żywiołów, podobnie jak zbrodnia. Z Bogiem-Materyą takie następstwa są nie uniknione.

Oddajmy jednak sprawiedliwość Goethemu, ubliżylibyśmy mu nastając jedynie na wady jego charakteru i błędy jego geniuszu. Charakter nie sympatyczny, był ogromnej siły. Geniusz który pobłdził chcąc koniecznie wytłumaczyć początek i koniec wszechrzeczy, prawo natury i ludzkości, przez pół wieku przyczyniał się do postępu wszystkich prawie nauk, zachwycając zarazem ludzkość urokiem swoich poczyi.

Oto ogólne wrażenie jakie z książki p. Caro wynosimy. Książka ta daje więcej niż obiecuje: mniemamy znaleźć tam jedynie *filozofią Goethego*, a znajdujemy całego człowieka uczonego i poete. Caro czyni długi przegląd dzieł jego i ułatwia ich zrozumienie, czyni nawet wystawę wszystkich zdolności autora *Fausta*. Przedsięwzięcie nie małe, odbyć, że tak powiem, podróż naukową około tak rozległego umysłu, wnikać w jego labirynty i nakreślić w końcu jego plan dokładny.

Pan Perrens wydał w jednym tomie *Historię literatury włoskiej*. Z rozmiaru dzieła widzicie że to wykład elementarny; autor posiada jednak rozległą znajomość

swojego przedmiotu: dowiódł tego, wydając poprzednio kilka dzieł znakomitych o Italii z epoki odrodzenia.

Ostatniej swój pracy Perrens dokonał sumiennie, mało pisarzy włoskich pominął; nie mógł zamykając się w jednym tomie scharakteryzować wszystkich, o każdym jednak wspominał, a mianowicie każdego na właściwem postawił miejscu: wielkich w pełnym świetle, małych grupami w cieniu. Mało ich widać, ale nic na tém nie tracimy, bo we Włoszech literaci drugiego rzędu mniej znaczą w piśmiennictwie niż w innych krajach: kilka znanych każdemu nazwisk genialnych pisarzy w nim jaśnieje; po niżej stoi tłum naśladowców powszednich, nie wiele wartych. W każdym zakresie Italia jest matką wielkich jednostek *odosobnionych*.

Historia piśmiennictwa włoskiego ma wiele nadzwyczajności wymagających objaśnienia. Literatura cała wyskakuje tam jak Minerwa, z jednej głowy. Nie miała dzieciństwa, od razu dosięgła szczytów, na które już się później nie wzniosła.

Podczas kiedy w innych krajach piśmiennictwa razem z włoskiem poczęte, przez całe wieki gwarzą, szukają, probują... włoskie arcydziełem się jawi, jakby wyjęte z pod ogólnego prawa stopniowania. Wszędy elukubracye zbiorowe są poprzednikami dzieł genialnych mężów, praca *nieznanych* trwająca długo; z niej geniusz treść wyciska i skutki gromadzi. We Włoszech inaczej: pisarze wielcy jawią się naprzód, nie oparci na żadnym gruncie poprzednim.

Co dziwniejsza, geniusze ci nie znajdują gotowego języka: tworzą go sobie, i ten język w którym napisali swoje arcydzieła, wnet we wszystkich ustach będące, *nie zostaje powszechnym*. Wszczął się spór trwający od czasów Danta do Montego i do dziś dnia nie rozstrzygnięty: nie wyrzeczono dotąd, który język włoski ma pierwszeństwo, czy tokański będący narzeczem miejscowym, czy język włoski klasyczny będący abstrakcją nieżywą, czy język tegoczesny, pisarski wymysł ostatniego stulecia, żyjący formułami sztucznymi i cudzoziemską pożyczką.

Inna osobliwość. Cała ta pierwotna genialna literatura, kupi się w jednym kąciku Italii: we Florencyi. Zkąd temu miastu płodność taka? Czemu nie nabywa

przez to dosyć przewagi, żeby narzuciło piśmiennictwu jednosc?

Same nadzwyczajności. Owo piśmiennictwo tak bogate, nie ma środka ani ogniska: ani w języku, ani w kształcie, ani w duchu, nie ma nitki przewodniej, któraby prowadziła od początku do końca. Nie tylko każda okolica ma swoje narzecze, Sycylia, Medyolan, Neapol, Wenecya, Bolonia, Genua, Florencya; ale nadto, każda miejscowość ma swoje piśmiennictwo miejskie, każda literatura swoich dziejopisów: Sorio, Barbieri, Signorelli opowiadają piśmiennictwo neapolitańskie; Foscarini, weneckie, Mariani i Audifredi, państwa papieżkiego, Fantuzzi, Bolonii, Bettinelli, Mantony i Como. Nie skończylibyśmy chcąc wyliczać wszystkie historye pojedynczych literatów.

Historye powszechne, jak p. Tiraboschi, która je wszystkie obejmuje, są tylko zebraniem odosobnionych tradycji.

Jeszcze jedna osobliwość. Piśmiennictwo włoskie od razu doskonałe, liczące w ciągu jednego stulecia Danta, Petrarke, Boccaccia i trzech Villanich; piśmiennictwo które od dzieciństwa włada uczoną prozą i niezrównane śpiewa poezye: nie wzrasta, nie bogaci się wcale. Przeciwnie: w ciągu XV wieku te arcydzieła, ten język precudny, porzucono dla pedantckiej erudycyi, dla języka martwego, dla niewolniczego naśladownictwa zapożyczającego się wszechstronnie u starożytnych.

W końcu XV wieku, Włoch się odradza, a z nim literatura. Zkądże wówczas bierze natchnienie poeta? Nie z przeszłości Italii pełnej wielkich przedmiotów takich jak Grzegorz VII, Liga Lombardzka, Sycylijskie Nieszpory, Colà di Renzi, Condottieri, Savonarole i t. p.; nie, wszystko to zapomniane, wzgardzone, porzucone dla cudzoziemskiej sentymentalnej mrzonki. Italia która nigdy nie miała rycerzy, upaja się wspomnieniami rycerstwa innych ludów Europy, opisanemi przez jej poetów właśnie w chwili kiedy rycerstwo kona, zabite śmiesznością. Pulci, Bojardo, Ariost, Berni, Tasso, pomijając mniej sławnych, nie mogli znużyć kapryśnego rozmilowania Włochów w tym przedmiocie.

Znaleźeby można wiele jeszcze innych niewytłumaczonych faktów we włoskiem piśmiennictwie. Naród ten

tak dramatycznych przeznaczeń, posiadający roczniki którymi możnaby obdzielić dziesięciu Szekspirów; kraj ten uroczy zasiany dworami pełnymi życia i przepychu; ten naród zakochany w festynach, zabawie, sztuce, niema teatru któryby przedstawiał jego obyczaje, pojęcia, historią.

Od czasu naśladowań Trissina i Arriosta, od czasu sielanek Politien'a, Tassa i Quariniego aż do tragedyi Alfiergo i jego rzeźbionych bohaterów, wszystko jest sztuczne we włoskim teatrze. Kto chce znaleźć sceny w których się objawia rzeczywisty geniusz włoski, musi go szukać tam, gdzie grają farsy ludowe, gdzie występują typy pochodzenia narodowego: Pulcinella, Arlechino, Pantaleone, Brighella, Beltramo, il Dottore, il Capitano i t. d.; albo téż w operze słuchać utworów Metastasia.

Wyjaśnienie tych wszystkich zagadek piśmiennictwa Italii, znajdziemy w historii politycznej Włochów; odłączwszy od niej literacką, wydalibyśmy sąd zbyt surowy, oskarżyli Włochów o bezprzykładną w ludzkości lekko-myślność, potępiłi bez appellacyi naród, który będąc obdarzony największymi zdolnościami wszechstronnie, mający wyobraźnię najżywszą, najognistsze czucie i największy rozum, mógł przez dwa wieki żyć farsą i kłamstwem.

Pojmujemy to wszystko dopiero rozpatrzywszy się w historii Włochów, kiedy widzimy jak tam niezmordowanie zwierzechność religijna i polityczna pracowała nad durzeniem ducha i odretwianiem poczucia złego.

Piśmiennictwo włoskie wychodzi z uśpienia w chwili, kiedy kilku ludzi odzyskało poczucie spodlenia Italii; rozbudza się zupełnie, kiedy Perrini i Alfieri kirem dusz swoich ogół powlekli.

We wszystkich epokach najwyższe genjusze Italii były smutne; poezję jój rozpoczynają gorzkie obelgi Danta a kończą rozpaczliwe strofy Leopardego: prozę zdradzającą w Machiavelu gorycz i najgłębsze zniechęcenie, do najczarniejszych barw doprowadza Ugo Foscolo.

Ten smutek *niektórych*, prawdziwie tragiczną sprzeczność tworzy z pozorną lekkomyślnością narodu, a nie jestto, jak czasami bywało we Francyi, smutek udany. Powieść Foscolo „*Ostatnie listy Jakóba Ortis*” wypłynęła z głębokiego

strapienia usprawiedliwionego aż nadto widocznymi powodami.

Pod koniec ubiegłego stulecia i w pierwszej połowie bieżącego, Italia nazbyt odosobniona skutkiem poczucia swojej wyższości, zapragnęła połączyć się z literackim ruchem Europy i poszła za romantycznym prądem. „Wiele dała innym, może też coś od innych pożyczyć”—powiada Józef Mazini w znakomitym artykule drukowanym w *antologii*, gdzie romantyzm włoski tłumaczy. Dziwném się wydać może takie zdanie w ustach apostoła narodowości włoskiej. W gruncie jednak, solidarność wszystkich literatur europejskich którą wówczas głosił, dziś, po upływie lat czterdziestu, dosyć się godzi z jego teraźniejszą zasadą solidarności wszystkich demokracji.

Kończąc tę pobieżną wzmiankę o włoskiem piśmienictwie, należy powitać nowy *przegląd*, który zaczął wychodzić we Florencyi p. t.: „*Nova Antologia*.”

Jestto pismo bardzo poważne, bardzo świetne i spełniające znakomicie wielkie zadanie *wjednoczenia umysłów* na półwyspie. Wszyscy znakomici ludzie włoscy są jego współpracownikami. Francesco Pronotari redaktor naczelny, uznaje babkę w stariej antologii: ale, ponieważ lat trzydzieści pięć, od jej śmierci upłynęło, musi zrobić znaczny skok w przyszłość. Przez tak znaczny przeciąg czasu, ważne zaszły na półwyspie zmiany: pożądana jedność się dokonała. Pierwsza antologia była pierwszym peryodycznem pismem włoskiem nauczajacém poszanowania zasad moralnych. Nowa antologia przejmując tę tradycję, ale idzie dalej: wtedy Italię nową tworzyć trzeba było, teraz ona już istnieje, teraz myśl z rzeczywistością walczy. Ztąd obowiązek dla przeglądu mającego wywierać wpływ, postawienia wyraźniej oznaczonego celu. Zadaniem jego dostrojenie do jednego kamertonu, rozstrojonego wiekowém rozłączeniem włoskiego narodu.

Nie mało weteranów z dawniej antologii pracuje w nowej. Artykułów politycznych znakomitych i patriotycznych jedności duchem ożywionych, nie brak. Są także znakomite prace o finansach i administracyi, przemyśle i handlu, piszą je sami ministrowie, ludzie jeżeli nie doskonali, to

zawsze lepiej od innych przedmiot swój znający. Profesorem z licznych uniwersytetów nadsyłają artykuły naukowe, słowem, *spis rzeczy* nowego przeglądu włoskiego jest zarazem spisem włoskich znakomitości rozumnych, a zarazem ożywionych młodzieńczością swobodną, którejby daremnie szukać w innych przeglądach podtatusiałej Europy.

Nowy okres dla piśmiennictwa włoskiego się otwiera: pierwszy raz jest powołane do wywarcia wpływu realnego, do współdziału w kierownictwie kraju, do wyczerpywania samych poważnych przedmiotów. Na siłach i zdolnościach Italii nie zbywa: wybrany to naród Boży: skoro pozbędzie rdzy dworackiej i jezuickiej, wszystkiego się można po nim spodziewać, byle go nie opętał czart pychy i zarozumienia, będący ostatnią zgubną pokusą zasłużonych i szczęśliwych.

W Odeonie wytoczono nowy proces niewierności małżeńskiej, proces mówię, gdyż nowa sztuka Barbiera „*Pan Domu*” daleko więcej do aktu oskarżenia niż do dramatu podobna. Przedmiot zużyty, ale zawsze dla sceny.

Mąż pokrzywdzony zwie się Dubourg. Panem jego domu a kochankiem jego żony jest niejaki Franciszek Lornier, metr muzyki. Bankier Dubourg od lat dwunastu gra w swoim domu rolę podrzędną. Na ostrzeżeniach z zewnątrz mu nie zbywa, bo rzecz w oczy bije; na wszystkich twarzach może wyczytać politowanie... najlepsi przyjaciele widząc że ostrzegają naproźnie, oddalili się od niego: dom bankiera stoi odosobniony jak kwarantanna.

Mąż wydaje się dziwny, ale żona jeszcze dziwniejsza: ostatnia z kobiet nie spojrzalaby na tego pana Franciszka, przez lat pięćdziesiąt niepojętego artystę, który deklamuje przeciw głupocie swojego czasu. Ten pan Franciszek niedowarzony i nieumyty impertinent, nie tylko bezczęści ale wala dom bankiera: melomania posunięta do szaleństwa, zaledwie wytłumaczyć może ten gust bankierowej.

Postępowanie bankiera ma przynajmniej jakąś wymówkę. Ani ograniczony, ani podły, Dubourg jest męczennikiem miłości rodzicielskiej. Ma córkę. Kiedy pan Franciszek się zjawiał, ona jeszcze dzieckiem była: poległszy w pojeźdźniku, zostawiłby Henryetę na łasce blazna i złej matki.

Żony przed trybunały posyłać także nie chce, żeby nie obryzgać jej niesławą córki; dla tegoż mąż oszukany nosi maskę ślepego.

Postępowanie takie może się wydać szczytne na pierwszy rzut oka: gdyby Dubourg był drewniany, nie mielibyśmy nic przeciwko temu. Automata na urząd zrobiony, może byłby do takiego bohaterstwa zdolny; ale staje się ono urojeniem, skoro chodzi o człowieka z ciałą i kości. Pojąć można, iż mąż znieważony zrzekł się zemsty; ale przez dwanaście lat znosić obelgę i nie wybuchnąć ani razu, to niepodobieństwo. Z resztą, cel dla którego bankier siebie poświęca, chybiony: świat wie co się święci.

Postępowanie bankierowej nie jest tajemnicą nawet dla pana Armanda, który *mimo to* żeni się z Henryettą.

Po wyjściu za mąż córki, katastrofa zdaje się nieuchronna: Dubourg może gadać głośno i skończyć domowe rachunki. Jednak w miesiąc po weselu, pan Franciszek jeszcze siedzi spokojnie w domu bankiera. Burza nakoniec z zewnątrz przychodzi.

Młoda para daje u siebie bal, na który pani Dubourg chce koniecznie przyprowadzić swego kochanka. Henryetta oburzona, odmawia mu wstępu do swego domu nie dając powodu; ale w końcu przez matkę zmuszona, wyznaje otwarcie przyczynę.

Następuje gwałtowna scena pomiędzy córką i matką, która w końcu daje jej do wyboru, albo przyjmować pana Franciszka, albo jej nigdy nie widzieć. Henryetta odważnie wybiera ostatnie: matka wychodzi zostawiając ją we łzach.

Tymczasem zbliża się godzina balu. Mąż pyta Henryety co ma schodzącym się gościom powiedzieć? — „Mów prawdę, woła żona — powiedz że straciła matkę.”

Scena jest efektowna, ale także nie możebna. Najgwałtowniejsza namiętność ledwieby wytłumaczyła takie poniżenie matczynej godności. Bankierowa przecież nie jest Fedrą: ma lat czterdzieści, jej ulubiony pięćdziesiątkę pełną, wiąże ich jedynie zardzewiały łańcuch przywyknienia; wystygłe uczucie nie może doprowadzić do takich skandalów: niema wybuchu bez ognia.

Cóżkolwiekbyś hałasna ta scena przebudza bankiera: zrzuca dobroduszną maskę i występuje jako mąż gniewny. Wyjawia tajemnicę tragikomedyi, którą grał tak długo; przeprosin żony nie przyjmuje; Franciszkowi wyjechać za granicę nie pozwala: chce pojedynku. Strzelają się o pięć kroków. Słychać dwa strzały naraz... Franciszek trupem pada: Dubourg ranny śmiertelnie kona na scenie błogosławiąc córce i przebacząc żonie.

Jest coś nie moralnego wtém rozwiązaniu, które zabija razem obrażonego i obrażającego. Nawet śmierć Franciszka zdaje się karą nie właściwą: strzał uszlachetnia błazna. Rozumny Rivarol dawno wydał prawo, któreby należało stosować w podobnych razach: „c'est avec coups de pied au derrière qu' on brûle la cervelle à de Certaines Gens“ pisze ów głęboki filozof ku wiecznej nauce potomności.

Nikczemność gacha jest główną wadą téj sztuki: czyni ona nie zrozumiałym upadek żony i cierpliwość męża. Widzowie mniej wyrozumieli niż on, pojąć nie mogą, jak taka figura może pozostawać tak długo w domu gdzie są okna?

Bankier wydaje się w końcu śmieszny. Można zrozumieć Brutusa udającego obłąkanie żeby obalić Tarkwiniuszów; można wyrozumić Lorenzacia udającego rozpustnika żeby zabić Florenckiego tyrana; ale żeby uczciwy mieszczanin przez lat dwanaście udawał niedołęgę, jedynie dla tego żeby pierwój wydać córkę niż pozbyć się gacha, to się w głowie nie mieści. Życie jego śmieszne, a konanie niezgrabne. Ma kulę w piersiach, krew go dławi... a on prawi kazanie przez kwadrans. Podczas tego, cała rodzina koło niego stoi i na myśl nikomu nie przyjdzie, żeby mu ranę opatrzyć. Zróbcieź to najpierw, a potem pogadacie.

Pomimo fałszywego założenia i położeń równie nie prawdopodobnych jak charaktery, paradoxalny ten dramat zyskał całkowite uznanie Paryża dlatego, że chociaż nie wytrzymuje krytyki, zajmuje. Nie trafnie bije, ale mocno: to i dosyć.

W teatrze *gymnase* przedstawiają obecnie obosieczną komedyjkę pana Guillemat, pod tytułem „*Małżeństwo przez Licytacyę*“ (*Le mariage aux enchères*).

Pomysł téj sztuki żywcem wzięty z obrazu Glaiz'a „*Les Amours à l'Encan*“ któryśmy przed laty z uśmiechem oglądali na wystawie malarskiej. Malarz scenę swoją umieścił na Cytherze. Widać bazar, a przed nim podwyższenie, na którym stoi baba piastująca kupidyna i zachwalająca towar publiczności. Kupido wydziera się i wrzeszczy... niewinna dziewczyna przypatruje mu się ciekawie, dwie damy ufałdowane w azjatyckie saity, zwracają ku niemu rozognione twarze. Na ławie, jakaś rzymska matrona zineczona życiem, siedzi i czeka aż zacznie licytować Amora, który jęj się podobał. Przy nięj stoi mężczyzna siwy i liczy ile miłość starców kosztuje. W głębi kurtyzanka z oczyma pełnemi czarnego płomienia, z włosami nagarniętymi na niskie czoło, odchodzi, unosząc dwóch kupidynków, którzy z rąk jęj się wydzierają jak dwa gołębie ze szponów jastrzębia.

Dalęj zakochany młodzieniec szybko się oddala niosąc w todze przysadzonego sobie Amora. Na Wenere! to człek szczęśliwy!.. Tylko czuwaj przyjacielu nad tą rzeczą skrzydlatą a płochliwą; uważaj, żeby ci się nie wymknęła i nie powróciła do bazaru z któregoś ją wziął; ptaszki te złapane na dźwięk złota, za pomocą téj samej muzyki odebrać można. W kącie, stary Frimalcion obarczony nudą i smutkiem, dyszy na wielkiem krześle. Biedny Amor, który wpadnie w łapę temu wieprzowi Epikura!

Kupidyny wystawione na sprzedaż stoją gromadką pod kolumną. Niektóre płaczą... ale większość wesółą z pogardą na kupców spoziera. Wiedzą Amory że ich pany, czemkolwiek są, wnet będą ich sługami, i szydzą sobie z wypadków licytacji.

Należało żeby malarz dla podniesienia téj symbolicznej sceny, był przedstawił w górze unoszącego się Erosa, miłość czystą, tę co się daje a nie sprzedaje; on powinien przelatywać ponad tym nieczystym bazarem rzucając służebnym Amorom dumne uśmiechy wolnego: wtedy obraz byłby zupełny.

Marriage aux enchères Guillemota przypomniat nam tę kompozycyą Glaiza o tyle, o ile może obraz przypomnieć.

Komedyopisarz skreślił dzieje bogatego ojca który córkę swoją wystawia na licytacyą: „Kto da więcęj!” Kuzynek Anatol ofiaruje piętnaście tysięcy franków dochodu

i serce: papa nie przybija, gdyż widzi w sali bogatszego pretendenta. Licytant Clery na początek ofiaruje pięćdziesiąt tysięcy; Anna ma już mu być przysądzona przez notaryusza, kiedy ukazuje się w perspektywie nowy nabywca płynący z Ameryki, na milionie: ojciec przybija. Panna ostatecznie przysądzona Amerykaninowi, kiedy przechodzi wiadomość iż ów młodzieniec milionowy utonął na wzburzonym morzu... Szukają pana Clery, ale ten już nie chce panny która idzie w górę, to spada jak akcja Tureckiej pożyczki.

W końcu Anna w braku licytujących, dostaje się krewnemu, który sam jeden z grona nabywców pozostał.

Mała ta komedyjka cała na pieniądzu osnuta, razi brutalstwem; ale jest w niej prawda i dowcip: dwie rzeczy, które surowiznę przełknąć pozwalają.

Wkrótce teatru i książki zagłuszy Wystawa Powszechna. Wydawca Dentu kupił za przeszło *półmilionu fr.* prawo drukowania katalogu wystawy. Gmach jej na polu Marsowym już gotów; urządzenie jego wewnętrzne zajmuje obecnie setki robotników; komisarze miejscowi i zagraniczni podwoili czynność swoją: ze wszystkich części globu przybywają już towary. Popis przemysłowy coraz więcej na pierwszy plan się wysuwa: za kilka miesięcy już o niczem tu mówić ani myśleć nie będziemy, tylko o wystawie. Część jej intelektualna, ta która ma uwydatnić postęp umysłowy, jaki Francja w ciągu ostatnich lat piętnastu dokonała, będzie najciekawszy. Czy porównanie z innymi krajami w tym dziale ekspozycji wyjdzie na korzyść Francji, o tem z góry wątpić się godzi: ale porównanie tem potrzebniejsze: upokorzona miłość własna jest najsilniejszym bodźcem postępu.

Jaki jest w tych piętnastu latach postęp umysłowy i moralny Francuzów?

Nie należymy do niezadowolonych, co przeszłość kożtem terażniejszości podnoszą; jednak trudno nam bez goryczy porównywać terażniejszą umysłowość Francji z poprzedzającą. Nie dawniej jak przed dwudziestoma laty, wspaniałomyślne chęci wrzały tu w głowach ogółu; znakomita czynność intelektualna widoczną była w całym kraju;

zapalano się do wielkich rzeczy; dyskutowano ważne kwestye polityczne i literackie: talenta młode, silne, mistrzowskiemi objawiały się dziełami w teatrach, poezyi, rzeźbie, malarstwie, w sądownictwie, na trybunie, na ambonie, w dziennikarstwie, i uniwersytecie.

Już do przeszłości należą owe imiona, które uświetniły pierwszą połowę bieżącego stulecia: Hugo, Alfred de Musset, George Sand, Balzak, Eugeniusz Delacroix, David d'Anger, Lacordaire, Michelet, Guinet, August Comte, Proudhon, Arago i im podobni, w grobie, albo nad grobem. Kto ich zastąpił? gdzie są ludzie, którzyby tu jak należy, wszechstronnie reprezentowali wiek XIXsty? Żadnej głowy po nad tłumem nie widać w dole, gdzie mrowisko ludzkie krąży; ogół niski i równy jak wersalskie szpalery.

Oklepaną stał się prawdą upadek, w jakim pozostaje literatura, sztuka, teatr, wymowa i uniwersytet we Francyi. Jaka tego upadku przyczyna? Różni, różnie mówią: zdaniem naszym nie poetów ani artystów brak, ale im sztuki i poezyi braknie.

Dlaczego Augier i Barryer nie mogą podnieść scenicznego poziomu? Dlaczego Renan, Taine i Laboulaye nie mogą podźwignąć poziomu umysłowego? Czemu talent tych ludzi niezaprzeczenie wielki, nie może przywrócić dawniej świetności literaturze i odprowadzić ogółu w dziedzinę myśli, w której dawniej tak lubił przebywać?

Dlaczego! Bo w inne łóżysko zawrócono prąd umysłowy Francuzów: myśl skierowano do realności. Jedni więc zajęli się stosowaniem nauki do przemysłu, drudzy w używaniu czysto materyalnem zagrzęźli. Zakreślono granice myśli, stąd nicość w piśmiennictwie idealnóm a powodzenie niskich utworów, maszynowej roboty pisarskiej, stąd powaga półgłówek, dających przykład zbytku i samolubstwa.

Do przyczyny pierwotnej dorzucić trzeba nieharmonią istniejącą pomiędzy rządem kraju a ludźmi przynoszącymi mu największy zaszczyt tak pod względem charakteru jak intelligencji. Dzieła francuzkie które w ciągu ubiegłych lat piętnastu najwięcej zwróciły uwagę świata, które nazwać można wypadkami literackiemi naszego czasu: *Contemplations*, *La Legende des Siecles*, *Les Misérables*, *Mer-*

lin *l'Enchanteur*, *La Revolution*, *Lettres sur l'Angleterre*, przybyły do Francji z zagranicy, gdzie je napisali francuzcy obywatele skazujący się dobrowolnie na wygnanie, a których nazwiska, słusznie czy nie, mają znaczenie systematycznie przeciwne istniejącemu rządowi.

Toż samo znaczą imiona najzdolniejszych naczelników rozmaitych stronnictw przebywających w ojczyźnie, ale pozostających poza sprawami publicznymi; ludzi, których dzienniki pół-urzędowe z przekąsem zwą *émigrantami wewnętrznymi*.

Ubolewając nadbezrozumnym uporem ducha partji, któremu jedynie o zmianę nazwy rządzącego chodzi, przyznać trzeba, że liczne procesa drukowe wytoczone Proudhonowi, Vacherot'owi, Montalembart'owi, wiele się przyczyniły do utrzymania stosunku równie dla rządu jak dla kraju niekorzystnego.

Nawet ludzie nie mający styczności z dawnymi stronnictwami, nie dzielający ani ich uraz ani pojęć; ludzie którzy najszczerzej przystali do rządu cesarskiego, nie są swobodni. Renan musiał się wyrzec katedry; *Historja literatury angielskiej* Tain'a ściągnęła na autora nie jeden grom urzędowy; Emilowi Oliwier nie pozwolono założyć dziennika; Augier aż do samego cesarza apelował przeciw srogiim wyrokom cenzury i bez najwyższej interwencji nie bylibyśmy oglądali najlepszych sztuk Augie'go.

Jeżeli do powyższych faktów dodamy surowe kary jakim ulega młodzież, ilekroć chce zrobić jakąś umysłową manifestacyą i wszelkiego rodzaju restrykcyę, ciężące nie tylko na publikacyach politycznych, ale także ekonomicznych, filozoficznych i literackich; skoro po nad banalność się wznoszą: to dojdziemy do przekonania, że Francja nie pozostaje w warunkach, któreby jej dozwoliły rozwinąć i pokazać swoją umysłową wiarę.

Dosyć powiedzieliśmy, ażeby czytelnik odgadł z łatwością słowo smutnej zagadki, dlaczego bogata, bujna i bystra Francja, tak nisko dziś pod względem umysłowym stoi.

Przybył jeden tom do *Biblioteki edukacyjnej*: „Słownik Mytologii.” Nie radzimy czytelnikowi żeby się do tego

słownika udawał po szczegółowe objaśnienie bogów ani tam szukał tłumaczenia mytów pogańskich, odkrytych lub wymyślonych przez tegoczesnych uczonych. Autor pan Ordinaire, jest może uczony, ale nie chce za takiego uchodzić: jak inni z wiedzą się popisują, tak on kokietuje czytelnika naiwnością. Dowcipu ma wiele, kwiaty wiszące na rozmaitych gałęziach drzewa wiedzy, obrywa zgrabnie jak skoczny koziołek złote grona cytysu. Książka ta, z której nie mało natchnienia weźmie poeta, powinna rozbroić cały zastęp poważnych mytologów, bo na ich pole wcale nie wkracza.

Pan Ordinaire zajmuje się tą mitologią, którą my wszyscy trudnimy się bezwiednie, czyniąc przenośnie, porównania i allegoryc, pożyczone od starożytnych, a będące zdawkową monetą wymowy, przyjmowaną wszędzie, chociaż na effigie, ani rok, nikt nie zważa. Nawet kaznodzieje z ambony wołają, żeby „wyrwać hydrę herezy z korzeniem.” Ileż takich i większych nonsensów przechodzi nie postrzeżonych; ile poprzekręcanych lub źle użytych wyrazów pogańskich kursuje w naszej chrześcijańskiej literaturze; do zrozumienia ich i nie używania opacznie, posłuży „słownik” pana Ordinaire.

Autor powiada słusznie że mitologia żyje.

Podzielając to zdanie, Henryk Heine opowiedział w przedziwnéj książeczce, „Przemiany bogów greckich” skoro ich chrześcijaństwo rozproszył. Powiada że poznał Hermesa Psychopomposa w pewnym holenderskim ruśnikarzu, który teraz przewozi emigrantów. Odkrył, że w XVI wieku Mars służył za parobka w wojsku, które Rzym oblegało, i że się tam odznaczył wściekłością przeciw papieżkiemu miastu. Apollo ciągnąc dalej dawne rzemiosło, został pastuchem u austriackiego wolarza; mnich jakiś poznawszy exboga po lirze i talencie z jakim grał na fujarce, wydał go jako czarownika władzy świeckiej. Bachus więcej na stos zasłużył, gdyż został królem Sabatu w Tyrolu i odbierał hołdy bezbożne od pobliskiego klasztoru. Jowisz był najnieszczęśliwszy z wszystkich wygnańców Olimpu. Majtkowie rozbił tego okrętu, który szukał drogi około północnego bieguna, znaleźli go na bezludnej wyspie morza Lodowatego. Panował tam, i miał nawet swojego orła, ale w jakimże stanie! wielki Boże! Nic smutniejszego, jak orzeł oskubany.

Wszystko to ma dowodzić, że bajeczni bogowie nie przepadli; iż żyją w legendach germańskich i w fantastycznych powieściach; że mitologowie niemieccy odnaleźli ich prawie nieznaruszonych w szwabskich strojach.

Co większa, nie tylko bogowie żyją, ale nawet przywidzenia mytologiczne odradzają się ustawicznie w umysłach. Błyskawica prująca chmury, jest zawsze pięknym węzem; w piorunie słychać głos niezadowolonego Boga; poganiające chmury wichry, są zawsze psami szczekającemi na krowy niebiańskie z płódnemi wymionami. Nawet w księżycu, zamiast upatrywać anioła, widzimy jak dawniej, milczącą boginię, współnicę Tessalskich czarownic.

Romantycy myślą że zagubili mytologią: wyrugowali ją wprawdzie z ksiązek bezdusznych i martwych obrazów, ale nie naruszyli téj, która odradza się w wyobraźni poetów i estetyczne dzieła tworzy; ani nawet téj, która się zamknęła w ciemnych alluzyjach językowych. Megiery, harpie, będą dopóty w mowie, dopóki ich w płci pięknej nie zabraknie. Narcysów, Adonisów i Satyrów płęć brzydka dostarczy; będą zawsze pretensye w polityce a wyrocznie w medycynie. Raporta policyantów francuzkich, gdzie zawsze mowa o *libacyach*, są komentarzami rzymskiej mytologii.

W Paryżu mytologia żyje nawet pomiędzy ludem; na poparcie tego zdania, przytaczamy następujące zdarzenie.

Dwóch mularzy pobiło się w szynkowni; prowadzą ich do kozy, a ci się proszą żeby ich puszczono i przyrzekają że już się bić nie będą póki życia!... Wielka zbrodnia poszturchać się! puście nas, zmiłujcie się!

Policyant głuchy na prośby, nagle zapytał: „Kiedyście stół wywrócili, wino się rozlało?— A rozlało.— Otóż w tém jest przestępstwo; bo uważajcie dobrze: Grecy i Rzymianie, przodkowie nasi, którzy byli poganie, czyli bałwochwalcy, rozlewali wino przy stole na cześć swoich bałwanów; zwali to *libacyą*. Więc tylko zważajcie dobrze na moje rozumowanie: gdybyście byli poprzestali na upiciu się i bitce—nie bylibyście zrobili nic więcej złego jak wszyscy chrześcianie czynią codziennie; nie byłoby w tém nic złego, bo nie byłoby *libacyi*: ale wino rozlane, jestto

libacya, zatém poganizm, wielobóstwo, bałwochwalstwo, cześć bałwanów, zatém do więzienia, marsz! czyście zrozumieли?”

Ta szynkowo-brukowa lekcya mytologii świadczy o gwałtownej potrzebie *słownika* p. Ordinaire, chociażby ten słownik nie miał innój zalety, jak tę że bawi.

— Na przedstawienie wydziałów historyi i archeologii komitetu prac historycznych Towarzystw Uczonych, minister oświecenia wydał rozporządzenie oznaczające zadania tym ciałom uczonym na konkurs przyszloroczny archeologii i konkursu historyczne roku 1868 i 1869.

Na przyszłorocznym konkursie minister rozda kilka nagród po 1500 franków za najlepsze prace archeologiczne ogłoszone w memoriałach Towarzystw uczonych; przyjmowane będą także rękopisy nadesłane z zagranicy.

W dziale historycznym 1500 fr. otrzyma 1869 roku za konkurs z 1868, autor najlepszego *Słownika narzeczy*, jakiegobądź strony Francyi.

Drugą nagrodę przyznają temu, kto nadeśle do ministerium najwięcej zadawalniający memoriał w przedmiotach następujących:

„Wyszukać dla prowincyi lub miasta dokumentów odnoszących się do handlu i przemysłu tegoż miejsca w wiekach średnich, tudzież do kondycyi kupców i wyrobników; podać ceny przedmiotów i sposoby fabrykowania tychże; opisać zjazdy kupieckie na jarmarkach, stosunki handlowe miast i ludów pomiędzy sobą; wymienić ilość płacy i wartość ówczesną pieniędzy, z dołączeniem dokumentów usprawiedliwiających, jak rozporządzenia rządowe, taryfy i rachunki kupieckie.”

Towarzystwo uczonych silnie przez rząd popierane na prowincyi, szybko się rozwija, jak tego dowodzą liczne jego publikacye szczegółowo objaśniające dzieje Francyi.

— Pod tytułem „*Hiszpania i sztuki piękne*” (Espagne et Beaux Arts) Ludwik Viardot wydał 14 swoich artykułów rozsianych dawniej po rozmaitych pismach peryodycznych; każdy artykuł o innym mówi przedmiocie, ztąd przyjemna w książce rozmaitość.

Rozpoczyna przekład *Lazarille de Tormes* satyra wyszydzająca hiszpańską szlachtę i duchowieństwo, a napisana jeszcze w roku Pańskim 1538.

Daléj p. Viardot wedle dokumentów urzędowych opowiada ostatnie chwile Filipa II i dowodzi, że syn jego Don Carlos nie kochał swojej macochy i nie był za to przez ojca zgładzony.

Zajmujące są te artykuły, w których opowiada rozmaite szczególniejsze a prawdziwe wypadki z historyi hiszpańskiej, którą zna lepiej niż Hiszpanie.

„*Goethe, ses memoires et sa vie*” napisał Henryk Richelot, a pan Rene Taillandier dodał do tego przekład *Korrespondencyi Goethego z Schillerem*. Książka jest zajmująca. Richelot ułożył autobiografią poety zbierając wszystkie kartki, na których Goethe mówi o sobie. W całej téj mozaice zupełna jedność panuje: autentyczność podanych faktów jest niezaprzeczona.

— Umarł Leon Goslan, jeden ze znakomitych pisarzy francuzkich. Syn ruśnikarza marsylskiego, Goslan urodził się w tém mieście 21 września 1806 r. Posłany na naukę handlu do Ameryki, powrócił ztamąd z rozwiniętą zdolnością literacką. W 1828 r. przytył do Paryża z tomikiem wierszy, na które wydawcy znaleźć nie mógł. Mery, z którym nie tylko w jedném mieście ale w jednym domu się urodził, dopomógł mu w literackich stosunkach. Wkrótce jako pisarz znany, był współpracownikiem pism peryodycznych *Incorruptible*, *Figaro*, *Vert-Vert* i *Korsarza*.

Wslawił się Goslan powieścią p. t. *Notaryusz z Chantilly*, wydaną w 1836 r.; potém w rok wydał powieść jakąś: ale do pierwszorzędnych należą jedynie jego *Noce ementarza Père-Lachaise*.

Dla teatru napisał mnóstwo utworów, sztuki jego przedstawiano na najpierwszych scenach paryżkich; do najlepszych należy „*Ewa*” przedstawiona w Théâtre Francais 1848 r.

Za zasługi literackie Goslan ostatniemi czasy otrzymał krzyż oficerski i pensyą 6,000 franków, którą pobierał aż do śmierci. Pogrzeb rząd mu sprawił bardzo wspaniały. Teraz z polecenia ministra gromadzą wszystkie pisma jego, celem wydania ich razem. Dzieła zupełne Leona Goslan zajmą tomów 60.

